

Upupienie syna marnotrawnego

28 lipca 2008

Oficjalna kultura polska perfidnie obchodzi się z nielicznymi postaciami, które za bardzo przerosły jej wymiar.

Żeby nie mieć z nimi kłopotu, najprościej byłoby je skazać na zapomnienie. Ale – co będzie, jeśli ktoś, mimo wszystko, odnajdzie ich dzieła? Przyprószony ziemią niewypał mógłby zostać zdetonowany nie w porę. Lepiej więc ułaskawiać po śmierci synów marnotrawnych, przy okazji redukując ich sprytnie do standardowego formatu. Zgodnie z tą receptą, co pewien czas przypomina się życie i myśl Stanisława Brzozowskiego.

Wzmianki o Brzozowskim, padające ostatnimi czasy a propos rocznic jego urodzin lub śmierci – ewentualnie wznowień książek, którymi kiedyś zasłynął – dokładnie odpowiadały konwencjiom dyktującym, co w danym okresie wypadało stwierdzać. Kiedy mówiło się, iż „polskiej duchowości” nie ma bez katolicyzmu, wybiórczo przekartkowany Brzozowski dawał się wtłoczyć w tę formułkę. I tak, dla przykładu, od Marty Wyki, zasłużonej kiedyś edytorki jego nieukończonego arcydzieła powieściowego „Dębina”, dowiadaliśmy się, iż tak samo, jak „zaciera się” marksizm, który głosił on pośrodku swojej drogi twórczej, tak „uwyrażnia się” katolicka „konwersja”, na jaką miał zdecydować się niedługo przed śmiercią.

Powiedzmy, że Brzozowskiego z lat ostatnich silnie pociągał Kościół, do którego został wprowadzony sakramentem chrztu, który jednak porzucił, gdy mógł już myśleć na własny rachunek. Taki współwyznawca niepokoiłby jednak swoją społeczność wiernych chyba bardziej niż wróg atakujący jawnie zza kościelnej bramy. Bóg, którego oblicze rysował sobie w nocnych rozmyślaniach, starając się w niego uwierzyć, pochwalił się w Księdze Hioba, że na równi z dobrem stwarza zło. Gorzej nawet. Przyrodę, którą spodobało mu się powołać do istnienia, miały

najtrafniej ukazywać wybuchy wulkanów. Historia ludzi, wtrąconych w jego świat, dla ich ogromnej większości nie różniła się na korzyść od „dantejskiego piekła”. Jej dorobek przypominał „piramidy z czaszek”, które stawiał Tamerlan, wyróżniając się z klanu władców nie tyle wyjątkowym okrucieństwem, co raczej otwartością. Sam Bóg do tego stopnia zagubił się w swoich złowrogich kreacjach, że od wielkiej biedy pozwalał się wśród nich – najlepiej „na dnie duszy” – odnaleźć jako „iskierka niegasnącego światła”, której nazwać i określić wprost „nie jesteśmy w stanie”. Za ewangelistów – o wiele lepiej niż zbieracze przypowieści i historii o cudach z palestyńskiego zakątka świata sprzed dwóch tysięcy lat, który w porównaniu ze współczesnym wydaje się szokująco prosty – temu Bogu posłużyliby Hegel, Marks, Nietzsche i Darwin.

I wreszcie, jego kościołem – zamiast „hierarchii”, stanowiącej znak szczególny katolickiej „Sanctae Ecclesiae” w całej jej dotychczasowej historii – powinno rządzić „prawo dojrzałej woli”. Brzozowski projektował takie przeobrażenie politycznego kształtu katolicyzmu równie daremnie, jak kilkadziesiąt lat później czynili to południowoamerykańscy teologowie wyzwolenia. Gdyby do niego doszło, stałoby się ono częścią jeszcze bardziej rozległej przemiany. Zrzucając z siebie ustrój oparty na zniewoleniu i panowaniu, który skrępował ją zaraz po wyjściu z prehistorycznej kolebki, ludzkość odnalazłaby się w idealnej (czy inaczej: jedynie dającej się pomyśleć jako byt realny, a nie demagogiczne zmyślenie) demokracji. A wtedy może udałoby jej się sprawić – swoją nauką, techniką i, last but not least, dosłownie fizycznym wysiłkiem – że świat, w którym Bóg objawił swój gniew, zaczęłoby coś łączyć z przykazaniami sprawiedliwości, a nawet miłości?

Nadzieje te, szkoda zaznaczać, jak się zrodziły w dziedzinie osamotnionych spekulacji, tak do niej wciąż należą. W sumie więc, łatwo je uznać za nieszkodliwe. Kogo zresztą interesują mniej lub bardziej nietypowe wyobrażenia o Bogu oraz dziejach

jego ludzkich stworzeń? Nawet usprawiedliwienie z lekceważenia nie polepsza jednak szans Brzozowskiego na życzliwie przyjętą „konwersję” do naszej wspólnoty.

Brzozowski – jak Pascal, do którego chętnie wracał – nie mógł pojąć, że ludzie na pokaz modlą się do Boga, którego w istocie ignorują. Pod tym względem, zapewniał, nigdzie w katolickim kręgu kulturowym nie wypatrzy się głębszej demoralizacji, niż właśnie u nas. Weźmy równie świeżą, co smakowitą próbkę. Polityk, którego biografia i przekonania mieściły się w porządku zdecydowanie świeckim, zostaje pochowany w jednej z najbardziej szacownych katedr. Do czego to było potrzebne jego rodzinie lub środowisku towarzysko-partyjnemu? – zapytaliby zrozpaczony poszukiwacz Boga z jansenistycznej twierdzy w Port-Royal i jego duchowy potomek z Polski. Mniejsza o to. Nie uzurpujmy sobie prawa do zaglądania w dusze organizatorów pogrzebu, które przysługują co najwyżej ich spowiednikom. Żałobna odświętność jednak – to już chyba wolno zauważyć – stała się natychmiast parawanem dla gry przyziemnych interesów. Osobistości znane z niechęci do zmarłego europarlamentarzysty prześcigały się w oddawaniu mu hołdów. Ostateczny bilans jego dorobku wymusił docenienie go poniewczasie? Skądże znowu – wspomniane czołobitne nekrologi służyły za tarczę przeciw oskarżeniom o nacjonalistyczną wrogość do zjednoczonej Europy. Z innej strony patrząc, ktoś mianujący siebie przyjacielem zasłużonej osoby, która na zawsze nas opuściła, wykorzystuje ostatnią dla niej posługę do urządzenia seansu nienawiści wobec rywali, którzy go odepchnęli od głównego stołu w kasynie medialnym. „And yet God has not said a word!” – z powodu o wiele słabiej prowokującego Najwyższą Istotę do zabrania głosu dziwił się faworyt Brzozowskiego wśród poetów XIX wieku, Robert Browning.

Brzozowski tak bezlitośnie demolował fasadę polskiego życia zbiorowego, że – co tu i ówdzie nareszcie się dostrzega po długiej przerwie – wydaje się naturalnym sojusznikiem tutejszej lewicy. Ta przecież w swoim okresie heroicznym

niszczyła zakłamate pozory i podobno nadal podejmuje się to czynić. Rzeczywiście, lektura Brzozowskiego w szeregu pokoleń skłaniała do przekreślenia wiary, tradycji używanej jako dekoracja przez aktualnie uprzywilejowanych i panowania własności prywatnej. – Ksiądz proboszcz musiał się popłakać, kiedy mówił o naszej umęczonej ojczyźnie? – dopytują się ciotki bohatera „Płomieni”, Michała Kaniowskiego, oraz jego przyjaciela Adasia. – Ależ nie – odpowiada Adaś – Obcierał nos.

Istnieje typ edukacji, który z nieznacznymi zmianami utrzymał się w Polsce międzywojennej, PRL po roku 1956 i obecnej Rzeczypospolitej. Pomijając drastyczne epizody okupacji oraz stalinizmu, jest on więc niezniszczalny. Zgodnie z jego formułą, warstwa panująca oddaje się samouwielbieniu, opowiadając wylewnie o męczeństwie towarzyszącym walce o niepodległe państwo, w którym – dzięki Bogu i sprawiedliwym wyrokom historii – znalazła się na szczycie. Reszta, która musi zamieszkiwać niziny, podziwia w milczeniu poległych, a tym bardziej żyjących dziś komfortowo bohaterów. Za Gomułki, Gierka i Jaruzelskiego, do tego głównego dania dodawano łyżę nad uciskiem chłopów. Począwszy od Mazowieckiego i Wałęsy, wzbogaca się je natomiast „uniwersalnym doświadczeniem totalitaryzmu”.

Na ów martyrologicznie wystrojony kult prominentów, Brzozowski działa jak odtrutka o piorunującym działaniu. Żeby go właściwie odebrać, warto przywołać z pamięci lat szkolnych możliwie najwięcej łyżawych tekstów o narodowych cierpieniach. Niech w takiej rekonstrukcji Gustaw Herling-Grudziński podaje sobie rękę z późniejszym Herbertem (autorem, między innymi, wiersza „17.IX”), a nawet z Mickiewiczem, którego wstrząsająco genialne „Dziady”, po ich przeróbce w charakterze lektury obowiązkowej, zostawiają w głowie przede wszystkim – wskutek wyrwania z kontekstu, dość komiczny – dialog: „Czy i u was na Litwie to samo się dzieje? Ach! U nas jeszcze gorzej, u nas krew się leje”. Wtedy, trafiając na odpowiednio przygotowane

podłoże, nieźle nas zaszokują spostrzeżenia historyczne z „Płomieni”, a także równoległej wobec nich czasowo publicystyki politycznej ich autora. Gdy Rosjanie walczący u siebie z caratem zgłaszali się ochotniczo do polskiego powstania styczniowego, jego niefortunny dyktator, Ludwik Mierosławski, witał ich pogardliwym „Niech się ta dzicz wyrzyna między sobą”. Szlachta, brzydząca się Słowianami ze Wschodu, nie inaczej traktowała jej rodaków, którym wyrok fatum kazał być rzemieślnikami lub chłopami. „Kradła” ich krew, przelewana z heroizmem równie wielkim, jak zerowe – z winy przywódców z fałszywej elity – okazały się polityczne szanse walki, na którą zostali wysłani.

Styczeń 1863, a także listopad 1831, wrzesień 1939 czy sierpień 1944 należą już do muzealnej przeszłości. Co dzieje się w okresach pokojowych, podobnych temu, w którym żyjemy? „Uderz Polskę posiadającą w rentę, ona odkrzyknie jak widmo spod Maciejowic”. Albo: „własność polska to pakt z rozbiorem, zużyty i spowszedniały”. Polityczne rozbiory kraju zastępuje czasem rabunkowa transformacja jego gospodarki, której hasło przewodnie dałoby się zapożyczyć u Brzozowskiego: „Szlachcic... postanowił bezwzględnie zjeść Polskę”. Jeżeli niedostatek szlachty o prawowitym rodowodzie muszą równoważyć uzurpatorzy herbu, a nawet plebejusze z awansu, konsumpcja postępuje tym łapczywiej.

Wszyscy właściciele dóbr duchowych i materialnych... Czyba już wystarczy tych przeciwników? Brzozowski jednak wyszukał sobie nowych. Co więcej, mogło się wydawać, że jego maszynka krytyczna zaczęła pośrednio bronić tego, z czym dotychczas walczyła. Wrogiem tępionym przez Brzozowskiego z naprawdę jadowitym zacięciem stała się otóż „inteligencja postępową”. Jednego z jej koryfeuszy – redaktora, jak sam tytuł wskazuje, wybitnie krytycznego pisma „Krytyka” – Wilhelma Feldmana, nazywał on, przykładowo, „wszechobecnym kurzem i pajęczyną”.

Czym rozjuszyła go formacja, która – co by nie mówić o jej wadach – odważyła się zbuntować przeciw Kościołowi, szlachcie

i jej spadkobiercom, a zwłaszcza podtrzymywanym przez tę potęgę polskiej rzeczywistości kulturowym starym dekoracjom? „Postępowcom” zarzucał on z upodobaniem, że – budując swoją tożsamość w opozycji do Kościoła katolickiego – sami pospiesznie zakładają własny kościół, który powieli i wręcz wyolbrzymia wady tamtego. Te jego spostrzeżenia potwierdzi każdy, kto zetknął się z postępową odmianą inteligencji w dowolnej edycji chronologicznej i pokoleniowej. Jakkolwiek szczupłymi siłami by w danej chwili rozporządzała, zawsze obiera ona papieża (czasem również kilku antypapieży) i powołuje urząd inkwizytorski, który zamiast stosów rozpalanych przez usłużną władzę świecką używa chociażby czarnej propagandy personalnej.

Quasi-klerykalny sposób istnienia społecznego narzuca „kręgom postępowym” – mimo że chwałą się one swoim antydogmatyzmem – utożsamienie ze środowiskowymi dogmatami. Do dziś spotyka się okazy – pospolitego w czasach, w których żył Brzozowski – gatunku ateistów. Są oni święcie przekonani, że nieistnienie Boga zostało wykazane argumentami naukowymi. Według nich, słowo „Bóg” nie ma sensu, ponieważ tak twierdził (dziś zapomniany i, prawdę mówiąc, w ogóle mało twórczy) neopozytywista Rudolf Carnap. Że tym sposobem wynoszą Carnapa do statusu proroka prawdy objawionej w jeszcze większym stopniu niż ze swoimi autorytetami czynią to wyznawcy Mahometa i św. Pawła, już im do głowy nie przychodzi.

Innym źródłem ateistycznego objawienia jest biologia – zwłaszcza ewolucyjna. Czas w sferze myśli nie biegnie równie szybko, jak w technice. Wobec tego, na klawiaturze komputerowej wystukuje się dzisiaj niemal te same rewelacje, które współcześni Brzozowskiego pracownicy wypisywali piórem. Bóg – twierdzą fani Richarda Dawkinsa – jest urojeniem wmówionym nam przez wędrujące geny. Moment. Czy fachowi koledzy Dawkinsa ze społeczności naukowców muszą być bardziej wiarygodni niż dwunastu apostołów albo i kolegium kardynałów? Z tego punktu widzenia, nie wydaje się specjalną ujmą dla

roзумu wierzyć w chóry anielskie, zachowując daleko idący sceptycyzm wobec genów, które jakimś – przepraszam za słowo – cudem miały powstać z materii martwej. To pewna, że z aniołem, nawet upadłym, można się porozumieć przez modlitwę lub, w ostateczności, pakt podpisany krwią. A jeśli coś tutaj nie wyjdzie, zostaje pociecha, że doskonalszej od nas istocie duchowej wolno postępować tak, iż nie do końca sprawia to nam przyjemność. Ale podporządkować się cząsteczce kwasu dezoksyjakośćom i jeszcze upatrywać w tym niezawodnej podstawy humanizmu? Na to można zgodzić się tylko aktem „credo quia absurdum”. Tak więc ateista znowu okazuje się fundamentalistą religijnym podszyty.

Identyczności między relikami mroków średniowiecza a czołówką nowoczesnego postępu definitywnie dowodzi wspólne zignorowanie przez jednych i drugich pomywaczki umierającej z przemęczenia i nędzy. U jej łoża – opowiada Brzozowski w „Legendzie Młodej Polski” – pojawił się ksiądz, który odmówił modlitwę, udzielił ostatniego namaszczenia, pomachał kropidłem i tym samym, przyznajmy że nader łatwo, uznał jej los za usprawiedliwiony. Co lepszego jednak – pada uzupełniające pytanie w korespondencji Brzozowskiego – mógłby tej samej pomywaczce dać liberalny wolnomyśliciel? On sam doszedł do wniosku, że nic, skoro w ogóle do niej nie zajrzał. Prywatnie powiedziała by zapewne, iż geny w jej przypadku mogłyby ułożyć się w bardziej udaną konstelację – ale cóż, na prawa przyrody nie mamy wpływu. Gospodarce wolnorynkowej, w której nie dała sobie rady, przydałoby się nadać bardziej ludzkie oblicze. Pamiętajmy jednak o doświadczeniach autorytarnego reżimu PRL oraz policyjnego państwa PiS. Jediną przysługą, jaką jesteśmy w stanie oddać pomywaczce, okazuje się, w takim razie, zabranie jej dowodu osobistego. Istnieje bowiem niebezpieczeństwo, że gdyby chwilowa poprawa jej zdrowia zbiegła się z wyborami, poparłaby swoim głosem prawicowych populistów, przyczyniając się do zepsucia polskiej demokracji.

Intelektualiści z twardszych doktrynalnie wydziałów KUL-u oraz

seminariów o filozofii naukowej, którzy edukują katolickie bądź antyklerykalne rodziny ich ulubionych mediów, o tyle dają się polubić, że swoje – wprawdzie karykaturalne – przekonania traktują w miarę poważnie. Stanowią oni, jednakże, rzadkie odchylenia od grupowej normy. Ogromna większość ich grupowych kompanów – w miejsce przekonań, które dawno zarzuciła lub ich wyrabianiem się nie fatygowała – ujawnia wyłącznie sytuacyjne odruchy warunkowe. Wśród nich, do najtrwalszych zalicza się postrzeganie siebie jako wysłanników z ziemi obiecanej, gdzie w nadrzędnej jedności zjednoczyły się znany nam już postęp, nowoczesność i Zachód. Przypominają się tu „Biesy”, których drugoplanowy bohater, Liputin, żyje wprawdzie dość nędznie i podle, ale pociesza się, iż doskonałe społeczności, wymarzone przez Karola Fouriera, które na pewno rozkwitną kiedyś we Francji, zawitają kiedyś i do jego zacofanego regionu.

Liputin oczekiwał chociaż powszechnej zmiany na lepsze. Gdy żadnych jej światełek nie widać na horyzoncie, „zachodniofilskie” misjonarstwo wyrodnieje w przeświadczenie o swej klanowej wyższości. O tyle łatwo się za nim opowiadać, że potwierdza się ono materialnymi oznakami przynależności do cywilizacji zachodniej. A gdy się dysponuje tymi ostatnimi, cóż szkodzi kokieteryjnie zadeklarować sympatię, dajmy na to, do Sienkiewicza jako wyróżnika potrzebnej przecież tożsamości lokalnej? W takim wymiarze, miejscowym zachodniofilom przeciwstawiają się zmodernizowani patrioci.

Światopoglądy wymieniają się dowolnie – i zarazem ubożeją treściowo – ponieważ braknie im praktycznych konsekwencji. Tak czy owak, Polska – stwierdzała prorocza metafora z „Legendy...” – jest limburskim (dziś powiedzielibyśmy chyba: pleśniowym) serem, którym co lepiej wyposażone genetycznie osobniki zapychają sobie przewód pokarmowy. A jeśli tak, to czy nie słusznie Brzozowskiego, który przeciw temu zgrzytał, się upupia: raz na czarno, raz na różowo?

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)